

EWA PLESZCZYŃSKA

ur. 1929; Sandomierz



Miejsce i czas wydarzeń	Magnuszew, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Magnuszew, dwudziestolecie międzywojenne, Żydzi, stosunki polsko-żydowskie, święta żydowskie, Kuczki, Olendrzy, wielonarodowość, ojciec, matka, księża, ksiądz prefekt Mieczysław Stasz, ksiądz kanonik Tomasz Kruger, pożary, poczta

Przedwojenny Magnuszew

Chciałabym oddać atmosferę tej małej miejscowości, w której było dużo Żydów. Obie społeczności – polska i żydowska – żyły w jakiejś symbiozie. Nie było niechęci między Polakami a Żydami, byli sąsiadami. Niektórzy Żydzi, zwłaszcza biedni, mieszkali w takich mniejszych domkach razem z Polakami. Tak że atmosfera była w zasadzie taka normalna. Było pełno różnych sklepów, sklepików, byli różni rzemieślnicy, w większości może Polacy, ale też i Żydzi zajmowali się rzemiosłem, czapnik na przykład, poza tym murarze, kowal był oczywiście i różni tacy.

Żydzi świętowali swoje święta, katolicy swoje. Wszystko odbywało się tak, jak trzeba. Zapamiętałam dobrze, że Żydzi obchodzili na przykład takie święta, które się nazywały Kuczki. Oni wtedy budowali przy domu takie jakby komórki i tam się modlili. I to się czasem słyszało, przechodząc obok [ich] domu, nawet przez takie szpary w deskach się widziało, jak się tam modlą. Było [też] święto nazywane Sądnym Dniem, kiedy Żydzi, sami mężczyźni, szli nad jezioro ubrani w takie płachty i tam głośno modlili się, kiwali się. Ludzie mówili, że topią swoje grzechy. Katolicy [też] obchodzili różne święta w ciągu roku, były procesje wokół kościoła, był odpust na świętego Jana, wtedy stały wzdłuż ulicy stragany kolorowe. Skądś się brali żebracy, którzy przy kościele siadali i którym się dawało pieniądze.

W pobliżu Magnuszewa mieszkali Niemcy nadwiślańscy, myśmy mówili o nich Olendrzy. I dopiero później ktoś mi wyjaśnił, że byli to prawdopodobnie Niemcy holenderscy, którzy osiedlili się w Polsce jeszcze w średniowieczu. Tam była taka niewielka grupa tych Niemców. Syn naszych znajomych gospodarzy ożenił się z taką Niemką. Oczywiście w czasie wojny większość z nich wpisała się na folkslistę, czyli czuli jakąś odrębność. Ale przed wojną nie czuło się tego. Trudno powiedzieć, w końcu wtedy byłam dzieckiem. W sąsiedniej wsi nauczycielem był Ukrainiec, pan Eliow. Nie wiem, czy tam byli jacyś Ukraińcy, ale on był Ukraińcem. Nie wiem, czy

uczył w szkole polskiej, czy w ukraińskiej, tego nie pamiętam, wiem, żeśmy się czasem bawiły z siostrą z jego synem. Można powiedzieć, że w Magnuszewie była taka Polska w pigułce, Polska wielonarodowa.

Pamiętam, że Żydzi raz do roku, ale nie pamiętam, o jakiej porze roku, pędzili przez środek gościńca całe stada gęsi. Poganiali witkami te gęsi. Kupowali je na różnych wsiach i przez Magnuszew już szły takie wielkie stada gęsi nad Wisłę, gdzie stały statki z Warszawy. Ładowali te gęsi na statki.

Pamiętam też ułanów, którzy często przejeżdżali przez Magnuszew. Wtedy wszyscy wychodzili z domów, dziewczyny machały chusteczkami, mama nam robiła bukietki kwiatów, rzucałyśmy te kwiaty. Często były manewry wojskowe w okolicy, u nas kiedyś nawet kwaterował taki porucznik Wiktor, który założył sobie maskę gazową, której się okropnie przestraszyłam.

Pamiętam, że dzieci zwłaszcza nazywały taką dwójkę Żydów głupia Rywka i głupi Maje. Ta Rywka rzeczywiście była chyba psychicznie chora i pojawiała się czasem na ulicy biegająca z takimi rozczochranymi włosami, często stawała na gościńcu przed naszą apteką i odbywała taki taniec, bo mój ojciec był dla niej guru. Żydzi bardzo ojca lubili, w ogóle ludzie ojca lubili. Ojciec był takim prawdziwym demokratą, był piłsudczykiem, przecież był w POW. Miał pseudonim „Achmed”, brał udział w bitwie warszawskiej w [19]20 roku, potem jeszcze w którymś z powstań śląskich, bo wtedy krótko pracował w Czeladzi na Śląsku, zanim zaczął pracować w Sandomierzu.

Dla nas to było takie normalne, że do domu przychodził fryzjer Żyd, który strzygł ojca i nam obcinał włosy. Bardzośmy go lubiły. Tak że w domu absolutnie nie było jakiejś takiej atmosfery antyżydowskiej, w ogóle nie poruszało się tematu antyżydowskiego. Natomiast oczywiście słyszało się, zwłaszcza w kościele, o złych Żydach, którzy zamordowali Pana Jezusa, ale tego się nie przekładało na tych naszych Żydów. Tutaj [ludzie] nie byli im niechętni. Dzieci opowiadały, jak to Żydzi łapią dzieci na macę, ale jednocześnie dzieciaki latały z tą macą, którą dostawały od Żydówek, i sobie zajadały. Ja raz zobaczyłam sąsiada, Żyda przez okno, przy świecy, w takiej kapie jakiejś białej, on się tak kiwał, już było ciemno dosyć na dworze. Ja go zobaczyłam i poczułam taki metafizyczny lęk, ale to też się nie przekładało na jakąś [niechęć], chodziłam do jego sklepiku po czekoladę.

Ojciec był, jak już podkreśliłam, demokratą, piłsudczykiem, choć w późniejszych latach nie był tak bezkrytycznie do Piłsudskiego nastawiony. Ale zawsze sobie w domu pogwizdywał legionowe piosenki. Natomiast mama była pewnie taka apolityczna. Była bardzo religijna, ale taką mądrą religijnością. Bardziej tak związana z Laskami niż z Niepokalanowem. Jak żeśmy już miały iść do szkoły, to mama postanowiła nas wysłać do Krakowa do urszulanek, ale ojciec się przeciwstawił, powiedział: „Nie. W Magnuszewie jest szkoła i dzieci mają chodzić do szkoły w Magnuszewie”. Mama ustąpiła oczywiście, i dobrześmy na tym wyszły, bo szkoła rzeczywiście była dobra.

Dzięki mamie mieliśmy bardzo dobre stosunki z księżmi, których zawsze było trzech – proboszcz, wikary i prefekt. Proboszcz kanonik Tomasz Kruzer [był] taki surowy, z nim to się miało mniej kontaktów, bo on głównie siedział na swojej plebanii, ale pewnie był poważaną osobą. Myśmy tylko czasem z rodzicami chodziły składać mu życzenia z okazji różnych świąt. Rodziców częstował lampką wina, a nas czekoladkami. Natomiast młodzi księża byli naprawdę tacy jacyś posoborowi – otwarci, tacy towarzyscy. Pamiętam dwóch wikarych, którzy przychodzili do nas na brydża na przykład. Był taki ulubiony nasz ksiądz prefekt. Prefekt uczył w szkole i nasz ulubiony prefekt ksiądz Miecio Stasz chodził z nami często na spacer. Pamiętam, jak kiedyś wskoczył na taką polną gruszę i strząsał ulęgałki na nas. Bardzo był fajny, ale biskup zabrał go tuż przed wojną z Magnuszewa i potem dowiedzieliśmy się, bo mama się zaprzyjaźniła z jego rodziną, która mieszkała w Radomiu, że poszedł jako kapelan na wojnę. Później może przez Francję, chyba nie przez Syberię, nie wiem tak dokładnie, dostał się do armii Andersa i już nie wrócił, chociaż chciał chyba wrócić do Polski po wojnie, ale biskup Gawlina go zatrzymał jako proboszcza dla Polonii angielskiej i tam umarł.

W lecie bardzo często były pożary od piorunów, zwłaszcza na wsi, gdzie domy były kryte nieraz słomą, ale i w Magnuszewie. Pamiętam taki jeden pożar, który wybuchł w jakimś budynku gospodarczym chyba prawie naprzeciwko naszego domu. Zapalił się w nocy, myśmy musieli wstać, ubrać się, no bo nie wiadomo, czy się nie przeniesie ogień na inne okoliczne domy. Pamiętam, jak wyglądałam przez okno i widziałam uwijających się strażaków z sikawkami, ludzi biegających z wiadrami, a wśród nich ten nasz ulubiony prefekt Stasz w sutannie z wiadrem biegał.

Poczta funkcjonowała idealnie, było dwóch woźniców, którzy przywozili pocztę z Warki dwa razy dziennie. Jeden był chyba na etacie u Zamoyskich, a drugi na państwowej posadzie i na zmianę – jeden rano, drugi po południu – jeździli do Warki i przywozili pocztę. W ogóle to było coś niesłychanego, świetnie funkcjonowała poczta. Gazety mieliśmy zawsze świeże, różne pisma, mnóstwo [tego]. Natomiast leki z Warszawy to przeważnie przyjeżdżały statkiem, bo były normalne kursy. Statkiem do Warszawy też parę razy jeździliśmy, w takich kajutach się spało nawet, bo czasem statek osiadł na mieliźnie i trzeba było czekać długo.

Data i miejsce nagrania	2014-09-29, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"